

Życie jest arcydziełem sztuki

Rozmowa z JACKIEM PAŁKIEWICZEM, podróżnikiem i dziennikarzem

**TYGODNIK
ANGORA**

– Lada dzień (14 października) ukaże się pana nowa książka palkiewicz.com. O czym ona mówi?

– To podsumowanie mojego życia, rozrachunek ze sobą oraz refleksje nad schyłkiem pewnej epoki, nieodwracalnymi zmianami w naszej kulturze, nad surowymi prawami dżungli, które po szalonych globalnych przemianach zmieniły oblicze świata i zawładnęły współczesnym człowiekiem. Tytuł książki jest zaproszeniem do odwiedzenia mojej strony www.palkiewicz.com, ilustrującej pasmo doświadczeń zarówno w krajach Pierwszego, jak i Trzeciego Świata oraz atencję dla ginących kultur i zwyczajów, a także spotkania z ludźmi, których trudno zapomnieć.

– Skąd wzięły się początek pańskich wędrówek?

– Moje drogi wiele razy przecinały się z gośćmi, po których wędrował prekursor epoki odkryć geograficznych Marco Polo, mój mentor. Jego postać będzie powracać niejednokrotnie na stronach tej książki. Oglądałem te same obiekty albo to, co po siedmiuset latach z nich zostało. Dzięki tym eksploracjom jego opowieści były dla mnie wciąż żywymi relacjami. Cieszę się, że zdążyłem poznać dawną Azję, widziałem, jak upływający czas odcisnął na tym kontynencie swoje niszczące piętno.

Większość zespołów świątecznych i miast garnizonowych czy buddyjskich stup została pochłonięta przez pustynie, nie przetrwały wojen, grabieży, burz i srogich zim albo padła ofiarą ludzkich zaniedbań. W miejscach wydeptanych ścieżek karawanowych powstały drogi asfaltowe i trasy kolejowe, a dwugarbne wielbłądy zostały zastąpione ciężkimi tirami mierzącymi do celu za pomocą nawigacji satelitarnej. Karawansejasy ustąpiły klimatyzowanym hotelom. Na bazarach nie wymienia się już jedwabiu, tylko sprzedaje firmowe T-shirty, a palarnie opium wyrugowały sieć McDonald's. Na szczęście do naszych czasów zachowały się liczne ślady dawnych epok, żywe świadectwo wielkości minionych kultur.

– Pisze pan, że barwny film życia dobiega definitywnie do punktu docelowego.

– Sytuacja graniczna nie daje wyboru, pogodziłem się z samym sobą. W związku z obniżeniem sprawności fizycznej musiałem przewartościować życiowe cele i zadania, zrezygnować z niektórych form aktywności. Co gorsza, dotarło do mnie, że wszystkie mądrości ze sztuki przetrwania, które przez długie lata wpajałem

kursantom, twierdząc, że pokonywanie własnych ograniczeń to tylko sprawa psychiki, w pewnym wieku nie mają odzwierciedlenia w rzeczywistości. Dziś widzę, że do głosu w tej kwestii dochodzą decydujące o naszym życiu prawa fizjologii i biologii człowieka, a tamte granice są jasno wytyczone. Z odwiecznymi prawami natury nikt jeszcze nie wygrał.

– Widział pan wiele. Jakie miasto najbardziej utkwiło w pamięci?

– Uwielbiam Wenecję. Samo to słowo wydaje się wyzwalać w duszy największego nawet racjonalisty pokłady romantyzmu i egzaltacji. Nie ma miasta bardziej opiewanego przez poetów, bardziej pożądanego przez kochanków, częściej odwiedzanego przez turystów i słynniejszego. Przypuszczam, że w żadnym znanym mi języku nie ma określenia, które byłoby w stanie wyrazić piękno, urok i tajemniczość Wenecji.

Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na placu św. Marka, byłem zagubiony i przez długi czas nie mogłem uwolnić się od przytłaczającego poczucia, że to nie jest realne miejsce, a pełen sztuki, historii i harmonii teatr na świeżym powietrzu. Wenecja to miasto, gdzie światło i woda przenikają się, tworząc magiczną atmosferę. To coś między snem a jawą, rodzaj pomostu między teraźniejszością a przeszłością.

– Założył pan pierwszą w Europie szkołę przetrwania. Jaki był jej cel?

– Przede wszystkim ostrzec przed pułapkami, jakie grożą z dała od cywilizacji i nauczyć takich zachowań, aby pomogli wyjść z ekstremalnych sytuacji. W pewnym momencie zainicjowałem cykl szkoleń pod nazwą „Challenging”. To była prawdziwa próba siły czy – jak ktoś woli – wyzwanie do ekstremalnego pojedynku. Twarda rzeczywistość pośród piasków pustyni czy dżungli amazońskiej, obciążenia na tonie nieprzyjemnej natury, gdzie wszystko ogranicza się do esencjonalnego minimum, wystawiają każdego na surową próbę charakteru. Wystarczy kilka dni poza własnym środowiskiem, aby najbardziej pewni siebie stracili grunt pod nogami.

– Przepłynął pan samotnie Atlantyk...

– To było najcenniejsze doświadczenie mojego życia. W 1975 roku postanowiłem przepłynąć ocean szalupą ratunkową w roli dobrowolnego rozbitek, bez radia i sekstantu. Zamierałem udowodnić, że ofiara morskiej katastrofy, mając do dyspozycji tradycyjną łódź, może ocaleć, jeśli się nie podda. Bo siła ducha i pragnienie życia są w stanie ją uratować.

– Były też doświadczenia wśród legendarnych „łowców głów”.

– W sercu wyspy Borneo natrafiliśmy na otoczonych złą famą Dajaków żyjących daleko poza zasięgiem działania prawa i mających mgliste pojęcie o tym, że ich kraj to Indonezja. Napotkana wspólnota składała się z kilkunastu rodzin mieszkających w długim domu na palach. Czas stał tam w miejscu, bo chrześcijańska kolonizacja jeszcze ich nie dosięgła. To spotkanie wywołało paraliżujący lęk, kiedy w chatce natknęliśmy się na wiszące w rotanowej siatce zakurzone, zasnuwane pajęczyną, poczerwiałe od kuchennego dymu ludzkie czaszki. Nieco wcześniej stary wojownik opowiadał o swoich wojennych wyczynach, demonstrując, jak owijał sobie wokół pięści włosy ofiary i zdecydowanym uderzeniem *mandau*, na którego krawędzi widniało kilkanaście nacięć – tyle, ile trofeów wrogów – odrąbał głowy. Pamiętam, że przez całą noc nie zmrzyłem oka.

– Na honorowym miejscu w pana gabinecie wisi biało-czerwony symbol narodowy.

– Otrzymałem go od prezydenta Bronisława Komorowskiego z okazji Dnia Flagi „jako znak obecności Rzeczypospolitej Polskiej na morzach i oceanach świata, dowód osobistej odwagi oraz symbol najwyższych wartości”. To była uroczysta i wzruszająca dla mnie chwila, bo do barw narodowych podchodzę z nabożną czcią. Mieszkając za granicą, prawdopodobnie czuję bardziej zakorzenioną we mnie dumę z pochodzenia niż moi rodacy żyjący na co dzień nad Wisłą.

Nie mniej cenna, bo dużo rzadziej nadawana, była dla mnie odznaka honorowa „Bene Merito” od ministra spraw zagranicznych Grzegorza Schetny w dowód uznania za „liczne istotne osiągnięcia promujące i wzmacniające na różnych polach pozycję naszego kraju na świecie”. Przy tej okazji szef resortu nadmienił: „Taka promocja Polski w dobie globalizacji, bez żadnego państwowego wsparcia, jest doskonałym przykładem nowoczesnego patriotyzmu”. Traktuję to uhonorowanie jako coś szczególnie. Jestem dumny, że przyszedł mi reprezentować nasz kraj na różnych szerokościach globu i mam niesłychaną satysfakcję, że mogłem wnieść małą cegiełkę dla chwały odrodzonej Polski.

– Mieszka pan głównie za granicą.

– Gdy wyemigrowałem, peerelowska władza nazwała mnie marnotrawnym synem narodu. A do wykupienia biletu w jedną stronę zmusiło mnie życie, bo w kraju nie miałem szans na realizację wielkiego marzenia o odkrywaniu świata. Wiele zawdzięczam Włochom, które w tych trudnych czasach zaoferowały mi swoją życzliwość, pozwalając spełnić marzenia. Po doświadczeniach komunistycznego totalitaryzmu poznałem smak wolności. Czuję się na Półwyspie Apenińskim jak u siebie albo i lepiej, bo niczym na ziemi obiecanej. Jako dumny Polak doskonale rozumiem słowa Henryka Sienkiewicza: „Každy człowiek ma dwie ojczyzny: jedną – swoją najbliższą, drugą – Włochy”. Od tamtej pory, uhonorowany dodatkowo Krzyżem Oficerskim Republiki Włoskiej, zawsze nosiłem na moich wyprawach flagi obu krajów.

– Nuta patriotyzmu często się u pana przewija.

– Ogarnął mnie wielki wstyd, kiedy w 2019 roku w światowych mediach rozszła się wiadomość, że na sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego w Strasburgu kilku polskich eurodeputowanych siedziało ostentacyjnie podczas wykonywania hymnu UE *Ody do radości*. Nie pomógł wówczas nawet apel z trybuny prezydenckiej. Tak obojętne zachowanie, poniżej godności osób, które reprezentują Polskę na zewnątrz, było dowodem głębokiej pogardy dla wspólnoty, z której dobrodziejstw Polska od lat czerpie korzyści. Dla mnie hymn narodowy stanowi świętość i zawsze wysłuchuję go wyprężony jak struna, z zachowaniem powagi i z nieukrywanym wzruszeniem. A gdy słyszę go, będąc daleko od kraju, przeżycie jest dużo silniejsze i nie ukrywam, że miewam wtedy lekko wilgotne oczy. Kiedyś polski patrio-



Jacek Pałkiewicz z Jerzym Owsiańskim

Fot. Wojciech Łaski

tyzm polegał na machaniu szablą w sytuacji zagrożenia. Taka definicja się przeżyła. Dziś mówi się o postawie moralnej bądź obywatelskiej. Ja to nazywam po prostu polskością, którą noszę głęboko w sercu. Posiadając dwa obywatelstwa, zawsze pozostanę wierny ojczyźnie, bo w dzisiejszych czasach, kiedy tożsamość zbiorowa Europejczyków ma wspólne europejskie obywatelstwo, można bez problemu być Polakiem patriotą i oddanym Europejczykiem, czyli – jak w moim przypadku – być jednocześnie oddanym Polakiem i zagorzałym Włochem.

– Nie grzeszy pan polityczną poprawnością.

– Są tacy, którzy zarzucają mi niechęć do obcych i szerszenie antyimigranckich nastrojów. To nieprawda. Broniąc swobód i przywilejów, które oferuje zachodnia demokracja, ja chcę tylko spokojnie żyć w swoim domu. Święcąc dzisiaj triumfy *political correctness* to jeden z największych koszmarów naszej konsumpcyjnej kultury i jej wymuszanie prowadzi do różnych absurdów. Życzliwe otwarcie się na innych miało służyć szerzeniu wzajemnego

szacunku wśród ludzi. W imię humanitaryzmu Stary Kontynent ugiął się pod falą islamskiego tsunami i traktuje w białych rękawiczkach wroga, który nienawidzi i destabilizuje cały Zachód, a klasy rządzące, aby nie narazić się synom Allaha, nie mają odwagi tego krytykować.

– Chwile niebezpieczeństwa, grozy?

– Myślę, że niekiedy za daleko posuwam się w moich awanturycznych przedsięwzięciach, ocierając się o śmierć. Zarówno w sytuacjach ode mnie niezależnych, jak i kusząc los oraz pokonując, zwykle na własne życzenie, pewne granice, których miżanie może okazać się letalne. Nawet jeśli nie wynika to z arogancji lub lekkomyślności, to jednak zawsze jest to igranie z ogniem, bo dobrze wiem, że za cenę ryzyka czekają mnie wielkie emocje i nadające sens życiu soczyste doznania. W pamięci noszę słowa wybitnego pisarza Luciana De Crescenzy, jednej ze szlachetnych, wieloaspekto-

– Podobno istnieje szkoła pańskiego imienia.

– Tak, rok temu Szkoła Podstawowa „Azymut” w Mostach, na przedmieściach Łęborka, otrzymała moje imię. Uczniowie szkoły pytani o to, kim jest i jaką funkcję w życiu szkoły pełni patron, odpowiadali, że patron to ktoś, kogo można i powinno się naśladować, kto czuwa, by szkoła działała we właściwym kierunku. „Jeśli uczyć się świata, to tylko od tych, którzy sami odważyli się stawić mu czoła. Jeśli iść przez życie, to przynajmniej na początku swej drogi, z godnym zaufania i doświadczonym przewodnikiem. Jeśli wprowadzać młodych ludzi w tajniki życia, to tylko w poszanowaniu dla otaczających ich ludzi, zwierząt i roślin. Jeśli uczyć człowieczeństwa, to tylko w oparciu o symbiozę ze światem” – powiedziała jedna z nauczycielek szkoły. Takimi zasadami, już na samym początku, planując profil swojej działalności, kierowała się placówka, której zostałem patronem.

– Najbardziej przerażająca sytuacja...

– Tajfun na morzu, gdzie pływałem na starym statku w roli oficera pokładowego. Huk morza, wycie wiatru, który osiągnął siłę 12 stopni w skali Beauforta, i gwałtowne wyładowania atmosferyczne – wszystko to było przerażające. Tajfun bezlitośnie cisnął statkiem na lewo i prawo. W ciemnościach nocy wyobraźnia ma tendencję do wyolbrzymiania zagrożenia, nic więc dziwnego, że przed oczami stanęły mi nieczyste potęgi piekła. Chwilami miałem odczucie, jakby statek przesuwiał się do tyłu, ciągnięty w otchłań. Kadłub z regularnością metronomu z hukiem uderzał w wodne góry, zawisał na nieprawdopodobnie długie chwile na ich wierzchołku, by zaraz potem raptownie osunąć się w próżnię. Po chwili lot dobiegał końca i dno dziobowej części statku wbiło się w ścianę wody, roznosząc silne wstrząsy całego kadłuba. Każde takie uderzenie groziło uszkodzeniem poszycia wysłużonej kappy. A mogło być i gorzej, bo przecież zdarzało się, że statek po prostu złamał się na fali i w ciągu paru sekund poszedł na dno z całą załogą.

– Jak pan widzi konsekwencje koronawirusa?

– Hiperrozwinęte gospodarstwo i wysoce zglobalizowane społeczeństwo doszło do ściany i musiało się wydarzyć coś, jak zemsta natury, która narzuciła nam wyhamowanie i przerwę na refleksję. Dała szansę na wyjście poza logikę skupioną wyłącznie na swoim ego, na ocenie priorytetów, na poprawienie relacji ze środowiskiem naturalnym, na ograniczenie konsumpcyjnego fanatyzmu i pozbiieranie myśli o esencji życia, o stosunkach międzyludzkich czy o podejściu do Boga. Pandemia koronawirusa i wiszący w powietrzu uniwersalny kryzys gospodarczy powinny zmusić do zmiany punktu widzenia na wiele kwestii i wnieść wkład w formowanie świata funkcjonującego w oparciu o równowagę w każdej dziedzinie życia.

ANDRZEJ WÓJTOWICZ